ROZMAITOŚCI.

Dnia 28. Stycznia — № 4. — Roku 1843.

UMARŁY KOCHANKIEM.

(Dokończenie.)

»Pan nie umarłeś?« zapytała Henryka podnosząc swoje piękne oczy.

»Nie, pani«, odrzekł Fleuranges.

»To bardzo brzydko ze strony pana. Cóż ma znaczyć ten grób, na którym stoi imię pana?«

»To jest grób pana Tillemont. A ja jestem Fleuranges.«

Henryka wywinęła się natychmiast z ramion młodego człowieka i rzekła z dumą: »Wyjaśnisz mi pan tę zagadkę? W jakim zamiarze odgrywałeś pan komedyję z szanowną familiją, przywłaszczając sobie nazwisko, które nie jest jego własnością?«

Fleuranges opowiedział wszystko, co się stało: spotkanie się z St. André, pojedynek, jak pan Tillemont został raniony. Wyznał, że nie miał odwagi wyprowadzać staruszka z błędu.

»Łaskawa pani!« rzekł, »widzę to, iż mi nie możesz przebaczyć, że żyję. Może się obawiasz, aby ta awantura *qui pro quo* nie wystawiła cię na śmiech? Łatwo temu zaradzić. Miéj mnie pani ciągle za umarłego; to nie przyjdzie ci tak trudno, bo niebawem opuszczam Paryż.«

»Na cóż dać płakać za umarłym, jeźli on żyje?«

»Któregoż z nas obudwu opłakujesz pani«, zapytał Fleuranges. »Czyli nieboszczyka, któregoś pani nigdy nie widziała, czyli tego, któregoś widziała a który żyje? Czyli kochałaś nieznajomego dla tego, że umarł, lub kochasz żyjącego, że go znasz? Uzyskałemże teraz politowanie twoje, płynąż choć w części twoje łzy za mną? lub może tylko dla umarłego masz łzy i tkliwe serce?«

»Zamilcz pan«, przerwała Henryka. Moje myśli plączą się coraz bardziéj. Nie mam teraz ochoty opłakiwać pana Tillemont, a pana.... nie kocham.«

»Sama pani przyznasz, że to jest rzecz dziwna.«

»Przeciwnie, rzecz bardzo prosta. Nie chcę dłużéj opłakiwać pana Tillemont, ponieważ go nie znałam, a pana nie kocham, ponieważ nie jesteś tym, za którego cię miałam, ponieważ nie wiém, kto jesteś i ponieważ przeciwko mnie wykroczyłeś.«

»Jakże mam to naprawić? Rozrządzaj mną, rozkazuj, słucham cię.«

»Dajmi pan dzień jeden do namysłu. Jutro dowiész się, co myślę.«

Fleuranges wyjął pulares, wydarł kartkę, napisał swój adres i swoje nazwisko. Henryka włożywszy za gors papier i spojrzawszy na Fleuranges dość pobłażającém okiem, zakryła twarz zasłoną.

Fleuranges skłonił się i odszedł. Wieczorem odwidził pana St. André, który chodząc sporemi kroki po pokoju, zażywał często tabakę i témi przemówił słowy:

»Kochany przyjacielu! Moja sprawa nie idzie mi po mojéj myśli. Ta dziewczyna prawdziwy Proteusz, Chameleon; wczoraj w grubéj żałobie, a dziś w różach, świecidłach. Siedzi na kanapie, wspiéra obie ręce na poduszeczce, a przed nią tuzin wielbicieli, których na pasku swoim wodzi. Przychodzę, ciotka przyjmuje mnie bardzo grzecznie, staję w szranki z wszystkimi spółzalotnikami, odsadzam ich i zostaję z nią sam na sam. Wiesz, o kim ze mną mówiła?«

»O nieboszczyku Tillemont?«

»Gdzież tam, o panu. Zna cię zapewne, wié o moim pojedynku. Chwaliłem pana bardzo, odpowiadałem na wszystkie pytania.

które mi zadawała i.... odszedłem. Pojmujesz że to?«

Fleuranges dowiódł, że bardzo łatwo można pojąć, opowiedziawszy scenę na cmętarzu, gdzie był zniewolony wyznać przed Henryką szczérą prawdę.

»Gdybym był na twojém miejscu«, rzekł St. André, »ta dziéwczyna musiałaby moją być żoną w przeciągu cztérnastu dni. Nie maszże żadnych zamiarów?«

»Żadnych«, odpowiedział Fleuranges

Wkrótce otrzymał list przez pocztę następującéj treści:

»Jeźli się panu Fleuranges dobrze powo-»dzi w Paryżu, to może tam zostać. Co prze-»winił, przebaczono mu. Nie żąda się po »nim niczego, nie zakazuje się mu pokazać »znowu na ulicy *Vendôme,* i składać swoje »hołdy.«

»Brawo!« zawołał St. André. »Pan płyniesz z wiatrem! Nie zaniedbuj sposobności. Trzeba drzéć łyka, póki się dają.«

»Nié mam ochoty pomnażać liczbę wzgardzonych wielbicieli.

Fleuranges udawał obojętnego, obawiał się bowiem, że gdy zechce starać się o jéj rękę, będą go posądzać, iż wzdycha do posagu panny La Noue. »Jam za ubogi dla téj dziéwczyny«, mawiał często. Szczęściem należał on do rzędu ludzi, dla których dobroduszne osoby chętnie odgrywają rolę aniołów-stróżów. Dla księżnéj Polignac nie było większéj radości, jak świadczyć swoim przyjaciołom. Historyja o żyjącym umarłym i jéj doszła uszu; wuj Henryki opowiadał całą tę przygodę i uskarżał się, że Fleuranges nie stara się o przejednanie kuzyny. Księżna mówiła tak pochlebnie o panu Fleuranges, że wuj razem z nią ułożyli plan, ożenić go z Henryką.

Księżna wezwała go i rozkazała mu prawie, aby się starał o względy Henryki. Słuchając rozkazu księżnéj, poszedł na ulicę *Vendôme.* Zastał kilku wielbicieli, których panna La Noue z tą samą przyjmowała obojętnością jak jego. Nie miałby nawet był sposobności pomówienia z Henryką, gdyby ciotka nie wzięła go z sobą do przyległéj komnaty i nie przyzwała swojéj kuzynki.

»Pan przychodzisz z tamtego świata złożyć nam wizytę«, przemówiła Henryka.

»Pani jesteś tak piękną i kochania godną, że możesz poruszyć zmarłego, aby z grobu powstał.«

»Zdaje się, że w grobie panu bardzo dobrze się powodziło, bo ośm dni w nim przepędziłeś, nim raczyłeś z martwych powstać. Jakże«, dodała, »znalazłżeś tam tkliwą żonę, która mu w chwilach melancholii przegrywała?«

»Odkąd ciebie pani poznałem, nie szukam innéj.« — Rozmowa szła daléj tym trybem, ale panna La Noue nie dała się zmiękczyć. Margrabina zniecierpliwiona postępowaniem swojéj kuzynki, kazała jéj odéjść do pokoju. Fleuranges oddalił się smutny, opuścił Paryż i zajął mieszkanie w domu gościnnym *Morfontain.*

Już cztéry dni minęło od owego dnia, kiedy Henryka zapytała wuja, czemu od tak dawna nie widać pana Fleuranges?

»Tyś temu winna«, odrzekł staruszek, »tyś mu zatruła każdą u nas wizytę.«

»Sądzisz wujaszku, żem go obraziła? To nie było moim zamiarem i mocno żałuję. Nie mógłbyś wujaszek wyszukać go i powiedziéć, że radabym go znowu widziała?«

»Z całéj duszy. Dziś jeszcze dowiém się o niego u pani Polignac.«

W kilka dni potém otrzymał Fleuranges list od księżnéj:

»Kochają pana niezawodnie, bo twoja nie-»obecność nie uszła ich uwadze. Grzeczny »kawaler nie pozwala, aby go piękna dama »po dwakroć prosiła. Jutro będziesz pan u »margrabiny, albo będę się gniewać.«

Fleuranges odpisał w te słowa:

»Jeźli pozyskałem miłość, to zapewne dla »tego, że nie jestem natrętnym moją obe-»cnością, a jeźli pragnę cieszyć się dłużéj »miłością panny Henryki, to musze tu w le-»sie pozostać. Zresztą moja grzeczność nie »pozwala, abym się dał prosić, jutro będę »w domu margrabiny.«

Przyjęto go z większą życzliwością niż ostatnią razą. Henryka karciła go miłémi słówkami, że tak długo nie dał się widziéć, ale wkrótce stała się znów szydzącą, sarkastyczną.

Fleuranges czuł się obrażonym i wychodząc na ulicę pomyślił sobie:

»Jest piękną, dowcipną, ale choćby dziesięć razy piękniejszą była, nie chcę kochać niewdzięcznicy.«

*

Jednego dnia szedł Fleuranges ulicą z panem St. André, który mu wyrzucał słabość ducha. — Fleuranges przechodząc po przed jednę kamienicę, spojrzał przypadkiem do góry i spostrzegł na czwartém piętrze w oknie młodą dziewczynę, która płacząc darła list i rzucała kawałki na ulicę. Jeden odrywek papiéru upadł na ramię barona, Fleuranges podjął i schował do kamizelki. Gryzeta widziała to i uśmiéchnąwszy się spłonęła rumieńcem.

»Na mój honor dziewczyna bardzo piękna«, rzekł Fleuranges, »niech się stanie co chce, pójdę do niéj na górę.«

St. André rozgniewany lekkomyślnością swojego towarzysza, odszedł.

Fleuranges zatrzymał się, a odczytawszy świstek, na którym kilka wiérszy było, domyślił się, że ta dziewczyna na czwartém piętrze, opuszczona od kochanka. Aby się bliższych szczegółów o téj dziewczynie dowiedzieć, wcisnął żonie odźwiernego złotą monetę do ręki.

Dziewczyna imieniem Joanna mieszkała sama, była bardzo pilną, nie wychodziła prawie nigdy z domu i szyła koszule.

Fleuranges korzystając z téj ostatniéj okoliczności, wszedł na czwarte piętro, i zamówił dla siebie tuzin koszul. Przez dzień cały nie mogła mu piękna szwaczka wyjść z głowy. Częściej więc odwidzał ją, wyznał swoję miłość i został wysłuchanym. U margrabiny ani się pokazywał, a spółzalotnicy rozpowiadali tryjumfującym tonem o jego niestałości.

Panna La Noue szła ślad w ślad za modami. Różowała się i pstrzyła twarz dwoma muszkami; jednę miała na podbródku a drugą pod lewém okiem. Jakże się jéj wielbiciele nie zdziwili, kiedy jednego wieczora ujrzeli ją bladą, bez różu i muszek na twarzy! Pani Noyon uczyniła Henrykę na to uważną, która ją w odwet pogardliwém spojrzeniem przeszyła. Przez cały wieczór nie przemówiła ani słowa, wielbiciele jéj strapieni i zdjęci trwogą, odeszli do domu.

»Zapewne ubolewasz nad niestałością pana Fleuranges?« zapytała ciotka Henrykę.

»Nie wiém o tém. Jestem w złym humorze.«

»Pan Fleuranges postąpił sobie bardzo słusznie. Znalazł gryzetkę, która go szczerze kocha, a teraz śmieje się z ciebie. To mnie bardzo cieszy. Mając go za umarłego, płakałaś; gdy zakochany przyszedł do ciebie, odtrąciłaś go. Teraz, gdy się sprzeniewierzył, radabyś go znowu widzieć u nóg swoich. Dobrze ci tak, nie bądź tak kapryśną.«

»Sama nie wiém«, co jest powodem, iż sobie tak postępuję. Zresztą, ja inaczéj nie umiém. Mnie się pan Fleuranges podoba, jabym go wzięła za męża, ale.... jakże ja nieszczęśliwa!«

»Czemużeś mi tego wszystkiego przody nie powiedziała? Młode dziewczęta mają czasami dziwaczne kaprysy, ale te mijają wkrótce. Małżeństwo z tego cię dziwactwa uleczy; postaramy się, aby Fleuranges był twoim. On cię kocha i tylko ze zgryzoty i zemsty zakochał się w drugiéj.«

Panna La Noue, smutna i zamyślona, nie opuszczała przez dwa dni swego pokoju. Jéj myśl była nieustannie zajętą niewiernym Fleuranges.

Drugiego dnia potém, przyszedł wieczorem wuj do Henryki i rzekł: »Ach, nowe nieszczęście! St. André zastrzelił się z miłości ku tobie. Jestto smutną rzeczą, być przyczyną tylu nieszczęść.«

Wszyscy goście obecni w salonie margrabiny, potwierdzali tę smutną wiadomość.

»Co za okropne zdarzenie!« zawołała Henryka. »Boleję mocno nad tém, i co wieczora będę się modliła za jego duszę.«

Te słowa doszły uszu pana Saint-André, który puścił pogłoskę o swojéj śmierci w téj nadziei, iż tym sposobem poruszy serce Henryki i dowié się, czy mu sprzyja lub nie. Jeźliby żywo uczuła śmierć jego, postanowił powrócić do niéj, i otrzéć łzy z jéj pięknych oczu. To co mu doniesiono o Henryce, tłumaczył korzystnie na swoję stronę. Pomyślił sobie, że młoda dziewczyna nie może co wieczora modlić się za duszę przystojnego mężczyznę, aby go w ośmiu lub czternastu dniach nie pokochała.

Jednego poranku przyszedł pan Fleuranges do swojéj kochanki Joanny późniéj jak

*

zwykle. Kilkakrotnie zapukał, ale nikt nie otwiérał. Już chciał odéjść, gdy żona odźwiernego pospieszywszy za nim, oddała mu liścik od Joanny.

»Drogi przyjacielu, jesteś kochania godnym; »serce mi się kraje, że cię opuścić muszę. Ale »taka uboga dziéwczyna jak ja, nie może odrzucić 4,000 talarów. Jestto piękna suma. Za tę »piéniądze kupię sobie kawałek ziemi w moich »rodzinnych okolicach. Bądź zdrów i pamiętaj »czasami o mnie. Ja nigdy o tobie nie zapomnę »i całuję cię w myśli po tysiąc razy. — Zapomniałam ci jeszcze powiedziéć, że to pan Noyon »dał mi tak dużo piéniędzy. On jest bardzo hojnym. Długo dałam się prosić, nim przyjęłam. »Możesz sobie wyobrazić, ile to mnie walki kosztowało, ale 4,000 talarów....! Sam mi je przyniósł. Jednę połowę w złocie, a drugą w śrébrze. Jestem teraz bardzo szczęśliwą. Bywaj »mi zdrów. Żegnam cię.«

Twoja wierna »Joanna.«

»Jam równie bardzo szczęśliwy!« pomyślił sobie Fleuranges. »Poczciwy Noyon w sam czas wziął mi ciężar z karku.«

Księżna Polignac powziąwszy raz zamysł ożenienia pana Fleuranges, swojego pupila, wpadła teraz na inną myśl, aby swój zamiar przywieść do skutku.«

»Wiész pan, co się stało?« rzekła jednego wieczora do pana Fleuranges. »Panna La Noue zupełnie z-ubożała: kazała sprzedać swoje dobra w Pikardyi, aby za te piéniądze nabyć inne majętności w pobliżu Paryża. Cóż się dzieje? Intendent, który miał przywieść pieniądze, staje się niewidzialnym; dowiedziano się, że ujechał do Ameryki.«

Księżna była tyle sroga, że razem z panem Fleuranges ubolewała nad tém nieszczęściem. Odgrywała rolę swoję tak doskonale, że jéj nawet łzy w oczach stanęły.

»O wielki Boże!« pomyślił Fleuranges. »Że teraz od nich stronię, przypiszą to mojemu samolubstwu. Zapewne teraz wszyscy ich opuszczą, o mnie pomyślą sobie tak samo, że jestem złym człowiekiem. Muszę ich odwidzić.« —Nie mógł się uspokoić i ubolewając nad nieszczęściem Henryki, rzekł w końcu: »Jeszcze im pozostał przyjaciel. Jeżli się zechcą podzielić moim skromnym majątkiem...«

»Więc kochasz tę dziéwczynę?« podchwyciła księżna.

»Tak jest, kocham.«

»Więc idź do niéj.«

Fleuranges szedł tak spieszno, że zaledwie zdołał go wyprzedzić list księżnéj, w którym zawiadomiała starego wuja o swoim podstępie. Wuj milczał, aby swojéj roli nie popsuć, ciotka nabrała odwagi, a dziéwczyna czérwieniła się i bladła po trzykroć na jednę minutę.

»Dziś dopiéro dowiedziałem się o tém nieszczęściu«, przemówił Fleuranges. »Ciérpię w głębi duszy, wyrazy spółczucia umierają mi na ustach.«

Wuj nie mogąc dłużéj przy milczącéj pozostać roli, wykrzyknął: »Ej co tam! Jeszcze wszystkiego nie stracono! Jeszcze...«

»W saméj rzeczy«, podchwyciła margrabina przeszywając wujaszka takim wzrokiem, że aż zapomniał języka w gębie. »Jeszcześmy wszystkiego nie stracili, bo nam pozostał zacny przyjaciel. Ta pewność leje balsam do strapionego serca. Na wsi, w samotném ustroniu będziemy tém żyć, co nam jeszcze pozostało.«

»Ja pójdę do klasztoru!« rzekła Henryka.

»Do klasztoru?« zapytał Fleuranges. »Zwątpiłażeś pani całkiem o ludziach? Maszże pani wszystkich za samolubów? Nie jesteśże jak zawsze i teraz kochania godną, nie jesteśże piękną? Nie daleko szukając, mógłbym wymienić przyjaciela, któryby oddał krew swoję, aby cię pani wyratować z ubóstwa, któryby chętnie dzielił z tobą wszystkie koleje losu. Ma on wprawdzie mało; ale jego matka kochałaby cię pani jak swoję córkę, a on wszelkichby dokładał starań, aby zatrzéć w twojéj pamięci stratę, którąś poniosła. Może z czasem obdarzyłabyś go swoją miłością i nie tęskniła za dawnémi czasy?«

»Cóż ty na to kochana siostrzenico?« zapytała margrabina. »Nie potemu pora, abyś mogła długo wybiérać. Odpowiédzże sama?«

»Gdybym znała tego przyjaciela, o którym pan mówisz«, odpowiedziała Henryka, »i gdyby on tak mówił do mnie, jak pan teraz mówisz... Postąpmy otwarcie: Byćże może, że po wszystkiém, co zaszło, jeszcze mnie kochasz? Więc dowiédz się, że i ja cię kocham; już wtedy, kiedym cię piérwszy raz ujrzała, pokochałam ciebie!«

»Jestżeto w saméj istocie Henryko?« zapytał Fleuranges, i ująwszy jéj rękę, cisnął do ust swoich.

»Zaniechajcie ceregieli«, rzekł wujaszek, »uściśnij dziéwczynę, a mnie pocałuj! Sprawa skończona. Wiano będzie piękne, bo cała ta awantura o bankructwie jest bajką. Ale, ale, cóż poczniemy z naszą gryzetką?«.

»Pan Noyon uprowadził ją.«

»Pięknie się spisał. My wszyscy na tém skorzystamy.«

Wieczorem, kiedy się zabrano do kart, wszedł do salonu baron St. André. Fleuranges szepnął kilka słów Henryce, lecz margrabina domyśliła się od razu. Naprzeciwko niéj siedział stary filozof, który chociaż nie wierzył w duchy, przecież

wytrzészczył oczy i odsunął się z krzesłem, a stary wujaszek przeciągnął trochę twarzy.

»Pan baron«, rzekła pani Champré, »w sam czas opuścił grobowe deski. Jesteś pan grzecznym gładyszem. Niebawem zaprosimy go na wesele mojéj siostrzenicy z jego przyjacielem panem Fleuranges.«

»Przewidywałem, że mi się mój efekt teatralny nie powiedzie. Nudziłem się niemiłosiernie w mojéj kryjówce.«

Podczas téj rozmowy wszedł pan Beville z bukietem kwiatów.

»Wiém, że panna La None lubi bardzo kwiaty...., są one rzadkie w teraźniejszéj porze roku. Więc się Henryka w dzień podpisania kontraktu ślubnego w nie ubierze.«

»W dzień ślubnego kontraktu?« zapytał Beville.

»Tak jest, przedstawiam panu mojego siostrzeńca, pana Fleuranges.«

W czternaście dni odbyły się zaślubiny. Henryka pozbywszy się panieńskich kaprysów, została rozsądną żoną. Fleurangos był zupełnie szczęśliwym.

Rewolucyja z r. 1780 nie zastała już margrabiny i jéj szwagra, więc dwie głów mniéj padło pod gilotyną. St. André został ognistym republikaninem, a jako pułkownik, poległ pod Marango śmiercią bohatérską. Fleuranges daleki od burz politycznych, żył spokojnie na swoich dobrach.

WSPOMNIENIE POZGONNE*)

O FRAŃCISZKU KSAWERYM

BŁOTNICKIM,

ARTYŚCIE LWOWSKIEJ SCENY POLSKIEJ.

zmarłym dnia 24. czerwca r. 1842.

Stańmy bracia nad kurhanem
I poświęćmy cieniom łzę!
Tém zasługę darzmy wianem,
Tém wspomnieniem w łzę wylanem
Zapomnienia zniszczmy mgłę!....

Niechaj zwłoki braciom miłe
Uczci bratni smutek nasz!
W bluszcz uwieńczmy tę mogiłę,
Gdzie snem wiecznym uspił siłę
Zasłużony ziomek nasz!....

Muz świątynio! sławę Jego
Niech pamiątek głosi dzwon!
Wszak do wzrostu olbrzymiego
Szczytne mury gmachu tego
Wspólną dłonią wiódł i On!....

I On nasze niwy błogie,
Co dziś bujnie złoci plon,
W chwile szczęsne i złowrogie
Brał w uprawę przez dni mnogie
A nagrodąż ma być skon?!....

O Lwowianie! nad kurhanem
Stańmy i urońmy łzę!
Tem zasługę darzmy wianem,
Tem wspomnieniem w łzę wylanem,
Zapomnienia zniszczmy mgłę!....

F. W.........

*) Celem moim jedynie jest wydobyć z niepamięci zasłużonego ziomka — i oraz pobudzić pióro zdolniejsze jak moje do rymów, któreby wyryły niezatartą w sercach rodaków pamięć tego, który żył dla nich.

Obserwatoryjum w Warszawie.

Opowiadka historyczna.

Przed niedawnémi czasy, gdy wielu z młodzieży polskiéj ramieniem swojém zasilało wojska francuzkie, przepędzała reszta młodocianne lata na uniwersytetach w Getyndze, w Genewie i Paryżu, odznaczając się pracowitością i zapałem w umiejętnościach.

Śród tych młodych Polaków, oddających się z miłości ojczyzny naukom, żyło w Paryżu dwóch przyjaciół bardzo różniącego się charakteru. Jeden pracował w historyi naturalnéj, a nadewszystko w botanice, drugi polubił umiejętności matematyczne i poświęcał się astronomii; piérwszy wytrwały, spokojny, zimny i pilny, drugi entuzyjasta i zapaleniec. Szubert, tak się zwał uczony botanik, sprostował nazwy wielu roślin przez dokładną klasyfikacyję, odkrył kilka nowych, a jedna z nich Szubercyja nosi do dziś dnia jego imię.

Armiński, młody astronom, miłował namiętnie swoje gałęź naukową. Nieraz wylewał łzy niecierpliwości, że czas nie przyspiesza biegu dla jego życzeń wyobraźnią ubarwionych; całe swe dążenie skiérował ku sławie. Przepędziwszy kilka lat na naukach i podróży, zajaśniała im obu najświetniejsza przyszłość. Zostali uwieńczeni. Cesarz Aleksander, król polski, powołał ich do zajęcia zaszczytnéj posady profesorów, przy uniwersytecie warszawskim.

»Stanęliśmy więc u celu naszych dążeń«, rzekł Armiński do Szuberta, »cóżty teraz poczniesz?«

»Droga moja nakreślona. Spisałem słuchane prelekcyje, pomnożę je mémi uwagami, będę uczył w Polszcze, czegom się sam w Francyi nauczył.«

»Jakto!« zawołał Armiński, »nie wzniesież się twoja dusza do zupełnéj wysokości twego powołania? Nie masz dokładnego rozumienia swoich obowiązków. Czémże jest profesor botaniki bez ogrodu botanicznego? Profesor astronomii bez obserwatoryjum? Poruszymy niebo i ziemię, aby wznieść nad brzegami Wisły zakłady, któ-

reby mogły pójść w zawody z najlepszémi piérwszych stolic Europy.«

»O tém nie myślałem«, odrzekł zimno Szubert.

»Ja o tém bezprzestannie myślę i wtedy dopiéro zawita spokój do méj duszy, aż z pomiędzy wieżyc Warszawy, ujrzę wznoszące się obserwatoryjum, z kądby moim postrzeżeniom, gwiazdy swój bieg odsłaniały.«

Właśnie w ówczas powrócili do ojczyzny młodzi uczeni, gdy Cesarz Aleksander, samowładca Rossyi zjechał do Warszawy, gdzie miał wystąpić jako król polski.

Zaledwie, marzący ciągle o swém obserwatoryjum Armiński, do Warszawy przybył, napisał zaraz rozprawę, w któréj starał się okazać, jak chlubnie byłoby dla Polski wejść w ściślejsze związki z uczonymi cudzoziemcami, daléj mówił o potrzebie postępowania na drodze wskazanéj przez Kopernika i nowego uświetnienia nauki, które jego wielki jeniusz już raz był rozwidnił.

Zadowolony swoją pracą, starał się dostąpić posłuchania u ministra oświécenia. Na nieszczęście tę posadę tak ważną, zajmował człowiek bez zasług; łatwo się więc dorozumiéć, że przyjął ozięble młodego uczonego: Na przedstawienia z rzadką prowadzone wymową, na entuzyjazm i ogień jego wyrazów, odpowiedział zimno i obojętnie: »Takich dzieł podejmować nie możemy, wiele kosztują, a mało niosą pożytku.«

W mgnieniu oka zabłysnął nowy plan w głowie Armińskiego: »Aleksander przyjeżdza do Warszawy« — rzecze sam do siebie — »jako król polski, nie będzie obojętnym dla sławy jego pieczy powierzonego narodu, do nóg mu padnę i na klęczkach zaniosę moje prośbę.«

Młody nasz astronom żyjący w swych bujnych zamysłach, pisze prośbę, czeka przyjazdu króla, śledzi drogi, którą miał przyjechać, a w chwili, gdy się Aleksander zbliżał do pałacu saskiego, podaje mu prośbę, w któréj zawarł ideał swych życzeń.

Ale skoro piérwsze do tego czyni poruszenie, zostaje aresztowanym. Nie stało mu czasu wyrzec jednego słowa, wydać jedno westchnienia; ajent osadzając go w więzieniu, rzekł mu dopiéro: »Wiédz nieszczęsny, co to znaczy sprzeciwiać się rozkazom.»

W piérwszych chwilach uwięzienia, śmieje się młody profesor ze swojéj przygody; siedząc w ciemnym areszcie, którego ani słońce, ani księżyc żadnym promykiem światełka nie obdarzały, mówi do siebie: »Wyobrażę sobie, że to jest zupełne zaćmienie słońca.« — Ale tu wpada mu na myśl, że go mogą zapomniéć albo wysłać do Sybiru; trwoga objęła jego duszę, krew skrzepła w żyłach, mniema się być zgubionym ze swémi wzniosłémi marzeniami, zgubionym w sile wieku, a już tak blizki szczęścia!

Wtém daje się słyszéć pukanie do drzwi więzienia, ciężko spadają zasuwy, a każde poruszenie dozorcy, odtętnia się w duszy nieszczęśliwego więźnia: ale jak wielką była jego radość, gdy miasto obawianych twarzy, ujrzał porządnego mężczyznę, z obejściem bardzo zajmującém, który z nim grzecznie a nawet po przyjacielsku rozmawiał: byłto książę Guriew, adjutant Cesarza Aleksandra.

»Jesteś wolnym mój panie«, rzekł do młodego profesora, »najjaśniejszy pan spostrzegł twoje przyaresztowanie, i wywiedział się o tobie; mnie zaś poruczył oświadczyć ci swój żal, że wydane rozkazy tak źle były zrozumiane. Wiadomo Cesarzowi, że chciałeś mu podać jakąś prośbę, rozkazał więc ci donieść, że cię jutro w południe przyjmie w zamku królewskim.«

Któż wydoła opisać szczęście Armińskiego! Już nie złorzeczy opatrzności, owszem składa jéj dzięki, bo ona nadarzyła mu sposobność, rozmówienia się z Cesarzem o swoim planie. Ulata do domu przyjaciela Szuberta, i wita go serdecznie uściskami. »Jutro«, zawoła, »ujrzę Cesarza, jutro minister, który odtrącił moje prośbę, otrzyma rozkaz ozdobić Warszawę piękną budową!« — Szubert uśmiéchający się dotychczas na wytrwałość swego przyjaciela, widzi, że uskuteczni swoje zamysły; postanawia więc korzystać z jego szczęścia.

»Słuchaj«, rzecze on, »będziesz się widział z Cesarzem Aleksandrem, zdaje się, że zezwoli na wszystko, o co go poprosisz. Mówiłeś mi niedawno o botanicznym ogrodzie, wiész ile podobne założenie przynosi korzyści nauce i krajowi; gdy przyzwoli monarcha na obserwatoryjum, to zanieś prośbę o kilka morgów pola, na pielęgnowanie roślin pożytecznych; wszystka ucząca się młodzież polska zawini ci wdzięczność.«

»Słusznie mówisz«, odezwie się Armiński — »napisz podanie, kto wié, czy się wydarzy, kiedy jeszcze taka sposobność; próbujmy! *Audaces fortuna juvat*, to moja zasada!«

Jęli się natychmiast obaj do pisania. Długo nie mógł ich ułożony koncept zadowolić, to był za długi, to znów za zimny albo niewymowny; nareszcie po długiém poprawianiu i przerabianiu, przepisano oba podania i opatrzone podpisem, a doręczenie monarsze wziął młody astronom na siebie. — Armiński przepędził całą noc bezsennie, liczył godziny i z największą niecierpliwością oczekiwał posłuchania. Mocno upragniona chwila zbliżyła się nakoniec. Marszałek dworu wprowadza młodego astronoma do Cesarza.

Aleksander siedział sam w swoim gabinecie. Na imię Armińskiego powstał, poszedł naprzeciwko niego, a witając go łagodnym uśmiechem, chciał naprawić smutny wypadek, który wtrącił do więzienia, jednego z najpilniejszych uczonych swego państwa. Uspokaja go zupełnie, słucha z uwagą przedłożenia jego żądań, rozmawia o Koperniku, Galileju, Newtonie, Keplerze a w końcu dodaje, że dzięki niebu składa za tak łaskawą sposobność uświetnienia swego panowania, założeniem pierwszego (?) obserwatoryjum na połnocy Europy. Armiński zdumiał cały, widząc w potężnym władcy Rossyi pana tak łagodnego i przyjacielskiego, który się oraz wszechstronném wykształceniem zaleca. Potęga, dobro działająca, wydaje mu się uosobnioną opatrznością! — Długo trwała jeszcze rozmowa, nim wszedł książę Guriew i doniósł Cesarzowi, że dygnitarze państwa życzą sobie złożyć hołd królowi konstytucyjnemu.

»Podaj mi swoję prośbę«, rzecze Aleksander, »a nie opuszczę stolicy Polski, nie potwierdziwszy piérwéj twego planu.« — Armiński oddaje pismo.

Car napisał własną ręką: Pozwolono i podpisał: Aleksander. Dając rzeczone pismo księciu Guriew, dodał: »Powiédz ministrowi, że jest mojém życzeniem, oglądać obserwatoryjum, przy najpierwszéj podróży do Polski. Tobie zaś mój panie«, rzekł, obróciwszy się do Armińskiego, »dziękuję bardzo, żeś nastręczył mi sposobność obdarowania Polskę zakładem, który zjedna sławę memu panowaniu.«

Łzy radości spłynęły po licach młodego astronoma; naprzód już widzi wzmacniającą się umiejętność i sławę narodu przez badania naukowe. W tém myśl nagła razi jego szczęście; pamięć przywołuje mu przyjaciela i jego podanie, spostrzega, że złamał słowo; zajęty cały swojém obserwatoryjum, przepomniał ogrodu botanicznego. W pierwszej chwili, chciał na łonie przyjaciela złożyć smutek, jednakże nie waży się przestąpić progu. Staje przed drzwiami, gniewa się sam na siebie i nazad powraca. Szczęście jego zmniejszone o połowę, bo przyjaźń go nie dzieli.

Zapomnienie to, smutne w nim wywołało myśli, cały w nich zatopiony, usiadł ponury; ale oto otwierają się drzwi pokoju: Szubert biegnie ku niemu, radość błyszczy mu z oczu, oblicze promienieje wesołością, ruchy jego niezwykłą okazują żywość. Słowa nie rzekłszy, rzucił się na szyję przyjaciela, objawiając w taki sposób swoję najżywszą radość i wdzięczność. Armiński nie może sobie wytłumaczyć tego dziwnego postępowania.

»Właśnie co z ministrem mówiłem«, ozwał się — »dzięki twemu spaniomyślnemu staraniu, na wszystko zezwala. Warszawa będzie miała ogród botaniczny, wolno mi wybrać miejsce najdogodniejsze i pola ile potrzebuję, pieniądze wyznaczone, jutro bierzemy się do dzieła.

Armiński sądzi z początku, że przyjaciel jego drwi sobie z niego, albo że mu się zmysły pomieszały; ale myśl okropna powstaje w jego głowie: może się pomyliłem, może oddałem prośbę Szuberta zamiast mojej! Szybkością błyskawicy szuka po kieszeniach papieru i znajduje miasto podania swego przyjaciela, swoje własne.

Żadna mowa nie zdoła opisać, co się działo z naszym astronomem; jakby go nagle wszystkie siły opuściły, padł na krzesło i rzewnie zapłakał. Dopiéro po długim upływie czasu, wydołał opowiedzieć Szubertowi, że nic jemu zawdzięczyć ma swoję radość. Ten chociaż uradowany, nie śmié jednak przez wzgląd na boleść swego przyjaciela, objawić głośno swojego uszczęśliwienia.

*

Wieczorem znajdywał się Aleksander na balu, który Warszawa na cześć jego wyprawiła. Książę Guriew doniósł mu o rozpaczy astronoma i o śmiesznym wypadku jego roztargnienia. Cesarz uśmiał się z tego wydarzenia i rozmawiał o niém z otaczającymi jenerałami. Po chwili namysłu, przywołał swego adjutanta i posłał do Armińskiego: »Powiédz mu«, rzekł Aleksander, »że moje środki, pozwalają mi dwie budowy, miasto jednej postawić, i że: obserwatoryjum wzniesie się pośród ogrodu botanicznego.«

Wypełniono wolą Aleksandra, a teraz żaden podróżny nie opuści stolicy Polski, nie oglądnąwszy piérwiéj obu spaniałych zakładów. — Profesorowie stali się godni łaski Cesarza. Ogród wzbogaca się coraz bardziej egzotycznemi roślinami, a obserwatoryjum już nie jednę korzyść naukom przyniosło.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 4. i obejmuje: 1) Rolnictwo oparte na użytkowaniu z krów, przez K. J. Turowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Prośba o rozwiązanie kilku zapytań w przedmiocie dotyczącym gospodarstwa wiejskiego, a w szczególności rolnictwa. 3) Doświadczona prezerwatywa przeciw sparalizowaniu jagniąt. 4) Odpowiedź na niektóre z pytań szóstego zgromadzenia niemieckich gospodarzy wiejskich i leśnych w Stutgardzie 21. września r. z. do roztrząsania przedłożonych. 5) Wspomnienie o instytucie agronomicznym w Marymoncie pod Warszawą. (Ciąg dalszy).

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 3. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Księżniczka Ostrogska, przez Augusta Bielowskiego. (Dokończenie). 2) Hogartowskie obrazy, przez Bolesta.

Mosty druciane. Zdaje się, iż na przestrzeni wynoszącéj trzydzieści mil długości, nigdzie nie masz tak licznych, a przynajmniej drócianych mostów, ile ich jest zacząwszy od *Cholons sur Saône* aż do Lugdunu: gdyż tu w przeciągu lat dziesięciu, wystawiono dwadzieścia sześć takich mostów. Są one jak pajęcza tkanka nad wodą zawieszone, i przekonywają: jak bardzo czynny jest nasz czas przemysłowy. Najpiękniejszym ze wszystkich jest most druciany w Saint-Bernard, któryby za wzór, naśladowania godny, przedstawić można.

Stronnictwa lékarskie. *Litterary Gazette* utrzymuje, że homeopatyja jest wtedy dobra, gdy nie jesteśmy chorzy, hydropatyja godna zalecenia wtedy, kiedy wina nie mamy, allopatyja zaś jest zawsze przykrą i odrażającą. Nad wszystkiemi stronnictwami najmocniejszą strażnią jest natura. Kto się na nią przez całe swoje życie gréchami cywilizacyi nie targnie, tego ona leczy i uzdrawia zawsze aż do póżnéj starości.

Osobliwszy wypadek. Wiele już rozprawiano o nieszczęśliwym przypadku, który się wydarzył na żelaznej kolei wersalskiej, równie jak i o wyroku, który w téj sprawie wydano. Teraz jeszcze nadmienić należy o jednym wypadku, który na powszechną zasługuje uwagę. Żona pewnego urzędnika nadmienionej kolei, dowiedziała się o tém okropném nieszczęściu i była w wielkiéj trwodze o swego męża. Nareszcie nad wieczorem przybył mąż całkiem nieuszkodzony do domu, i opowiadał żonie wszystkie szczegóły tego nieszczęśliwego zdarzenia. Dnia 12. listopada z. r. powiła mu żona córeczkę, która po całém ciele ma czarne

plamy, a skóra na niej jak spalona wygląda. Zresztą twarz nie jest zeszpecona plamami. Zdaje się, że wizerunek tego dziécięcia pomiędzy lekarzy rozpowszechnionym będzie, gdyż pan Orfila, rektor fakultetu medycyny, wydał już ku temu rozkazy.

Szczególniejszym rodzajem wróżbiarstwa były tak zwane: *Sortes Virgilianae*. Mniemano bowiem, że w Wirgilim można odgadnąć przyszłe swe przeznaczenie, i dla osiągnienia tego zamiaru postępowano sobie w sposób następujący: Otwierano na los szczęścia Wirgilego i pamiętano sobie dokładnie wiersze, które wielkim palcem przykrywano. Jeźli w ten sposób oznaczone miejsce dało się jako tako zastosować do osoby zapytującéj przyszłość, uważano je za proroctwo. — W dawniejszych czasach zapytywano nieraz w ten sposób Wirgilego jako wyrocznię. I tak między innémi Karol I., król angielski, przeczuwając blizką śmierć swoję, miał wziąć tego rzymskiego poetę do rąk i natrafił na następujące złowrogie miejsce w czwartéj księdze Eneidy: *Sed cadat ante diem: mediaque inhumatus arena. Aeneid. lib. IV.*, 620. Król ten był podówczas uwięziony w Carisbrooke, działo się to 1648 r. — Co większa, syn jego książę Walii, który uszedł do Paryża, i bardzo był troskliwy o życie swego ojca, miał podobnież uciéc się do *Sortes Virgilianae*, i jak owczesny angielski historyk zapewnia, napotkał toż samo złowieszcze miejsce w Eneidzie! — Że król Karol I. wierzył w podobne gusła, tém bardziéj dziwić nas nie powinno, zważywszy jak wielu owczesnych wielkich mężów, n. p. Wallenstein, w najniedorzeczniejsze zabobony wierzyło. Wszakże Jakób I. król angielski, napisał sam obszérne dzieło o demonologii.

Ważny kontraband. Przy końcu zeszłego roku wydarzył się w Nowosiełcach, na pogranicznéj, rossyjskiéj komorze ważny kontraband. Pewien *Commis voyageur* z Hamburga przybył do pomienionéj komory, dla opłacenia podatku za 10,000 hamburskich piór do Rossyi. Była właśnie pora obiadowa, a urzędnicy siedzieli u stołu, jeden tylko dozornik był w kancelaryi, który oznajmił podróżnemu, aby przyszedł po obiedzie. — Kupiec wyładował z wozu pióra, i czekając na urzędników, zaczął przechadzać się po kancelaryi. Dozorca prosił go o kilka piór, lecz podróżny nie chciał mu dać ani jednego. — Rossyjanin, jak wiadomo, prostaczek, jest jak dziecko, co zobaczy, tego zapragnie; gdy więc podróżny na chwilę się odwinął, dozornik śmignął mu całą paczkę piór. Chcąc z jednego z nich zaciąć piórko do zębów, znajduje w pieńku zwiniętą w trąbkę karteczkę papiéru, rozwija i poznaje banknot na 1000 rubli asygnacyjnych. Spieszy czemprędzéj do poborcy, i opowiada mu cały wypadek. Ten przyzywa kilku strażników, aresztuje handlarza, rozcina jeszcze kilka piór, i znajduje, że wszystkie napełnione są podrobionemi w Hamburgu czy w Londynie banknotami po 1000 rubli asygnacyjnych, poczém go pod ścisłą strażą razem z towarami do Krzemieńca odsyła. Biédny komisant podobno trudno już, aby kiedy ujrzał nowo-budujący się Hamburg, ale za to po Sybirze przechadzać się będzie.

Historyczna wiadomość dla miłośników tabaki i tytoniu. Jak swobodnie siedzicie sobie teraz w pokoju lub kawiarni, wy starzy jegomościowie, i napełniacie je wyziewami swych fajek! Jak wesoło i natrętnie dymicie, wy młodzi panicze, waszémi ogarkami cygarów po pod nos wszystkim przechodniom a nawet i płci pięknéj! Jak składnie umiécie podać tabakierkę, uderzyć w nią palcami, otworzyć, zamknąć i ręką strzepnąć! O wy smakosze tytoniu i tabaki z roku 1843, dziś wam się dobrze dzieje. Ale inaczéj, wcale inaczéj powodziło się waszym ojcom! Jakżebyście dzisiaj bledli i drżeli ze strachu, jakżebyście wszystkie lulki, tabakiery i cygara na ziemię ciskali, gdyby się wróciły owe czasy, gdy Jakób I., król angielski napisał dzieło, w którém zaklinał swych poddanych, aby dla własnego zbawienia, tytoniu palić się nie ważyli — gdy Papież Urban mocą osobnéj na ten cel wydanéj buli wyklął z prawowiernego kościoła tych wszystkich, którzyby podczas nabożeństwa tabakę zażywali — gdy Wielki Sułtan srogą zagroził karą temu, któryby dym tytoniu przez usta przeciągać się poważył — gdy król perski wydał nawet okrutny rozkaz, aby tym wszystkim, którzy zażywają tabakę, nosy — poucinano — lub gdy nakoniec Car Iwan Bazylewicz, na palenie lulki i zażywanie tabaki karę śmierci zaprowadził! — Jednakże uspokójcie się! To, co dawniéj tak ostro zakazywano i tak surowo karano, dziś weszło w modę, a kto wié, ażali kiedyś nie będzie powszechném i bardzo modném to, co teraz jest pod témiż samémi auspicyjami, pod któremi niegdyś tytoń i tabaka zostawały!

Letarg. Z końcem zeszłego lata ożenił się pan M. z piękną, bogatą dziewczyną, i przez całe pierwsze cztérnaście dni po weselu panowała największa radość w jego domu. Lecz po upływie tego czasu zasłabła żona; zapadła w twardy sen, z którego ją nic obudzić nie mogło. Wezwano bardzo zdatnego, młodego lekarza, który był przyjacielem téj familii. Ten oświadczył, że słabość młodéj małżonki nie jest niebezpieczna, że ona tylko potrzebuje spokoju, a nareszcie rzekł do strwożonego małżonka, że letarg ten najdłużéj ośm dni potrwa. Małżonek uspokoił się tém zapewnieniem, przyjął dla choréj osobną służebnicę, a po upływie ośmiu dni obudziła się młoda żona ze snu, z wielką radością całéj famili. Lecz po dwóch tygodniach na nieszczęście znowu przyszła taż sama słabość; z tém wszystkiém małżonek już był spokojniejszy i dowiadywał się tylko niekiedy od służebnéj, która mu nigdy nie pozwalała widziéć choréj. Tak przeminęło kilka podobnych słabości, a małżonek zaczął nareszcie nie pokładać w nich wielkiéj wagi. Aż dopiéro gdy jedna z tych słabości nadzwyczajnie długo trwała, zaczął małżonek być niespokojnym, i chciał koniecznie zobaczyć swoję żonę. Z tego powodu zakradł się jednego razu w pociemku do alkowy, odsłonił firanki i ujrzał swoję żonę istotnie jakby martwą w łóżku leżącą. Tegoż samego wieczora przedstawiano w teatrze po raz pierwszy nową operę; pan M. poszedł do teatru, ale muzyka tak mało go zajęła, iż zaczął się oglądać po sali. Lecz kogożto spostrzega w jednéj z lóż teatralnych? Oto swoję żonę w najpiękniejszym stroju, która poufale z jakimsiś jegomością rozmawia. Jegomość ten był jego lekarz domowy. Biédny mąż omal że nie zemdlał na miejscu. Najżywsze namiętności wstrząsnęły jego sercem, jednakże pokonał się, wyszedł z teatru, wrócił do domu, i udawszy się do sypialni żony, zaczął dokładniéj przypatrywać się śpiącéj — była to figura woskowa. Na boku alkowy, spostrzegł także skryte drzwi, które mu nie były znane i na tylne wschody prowadziły. Służąca tymczasem umknęła z domu. — Sąd ma teraz wydać wyrok na tę piękną spioszkę i uprzejmego doktora.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.